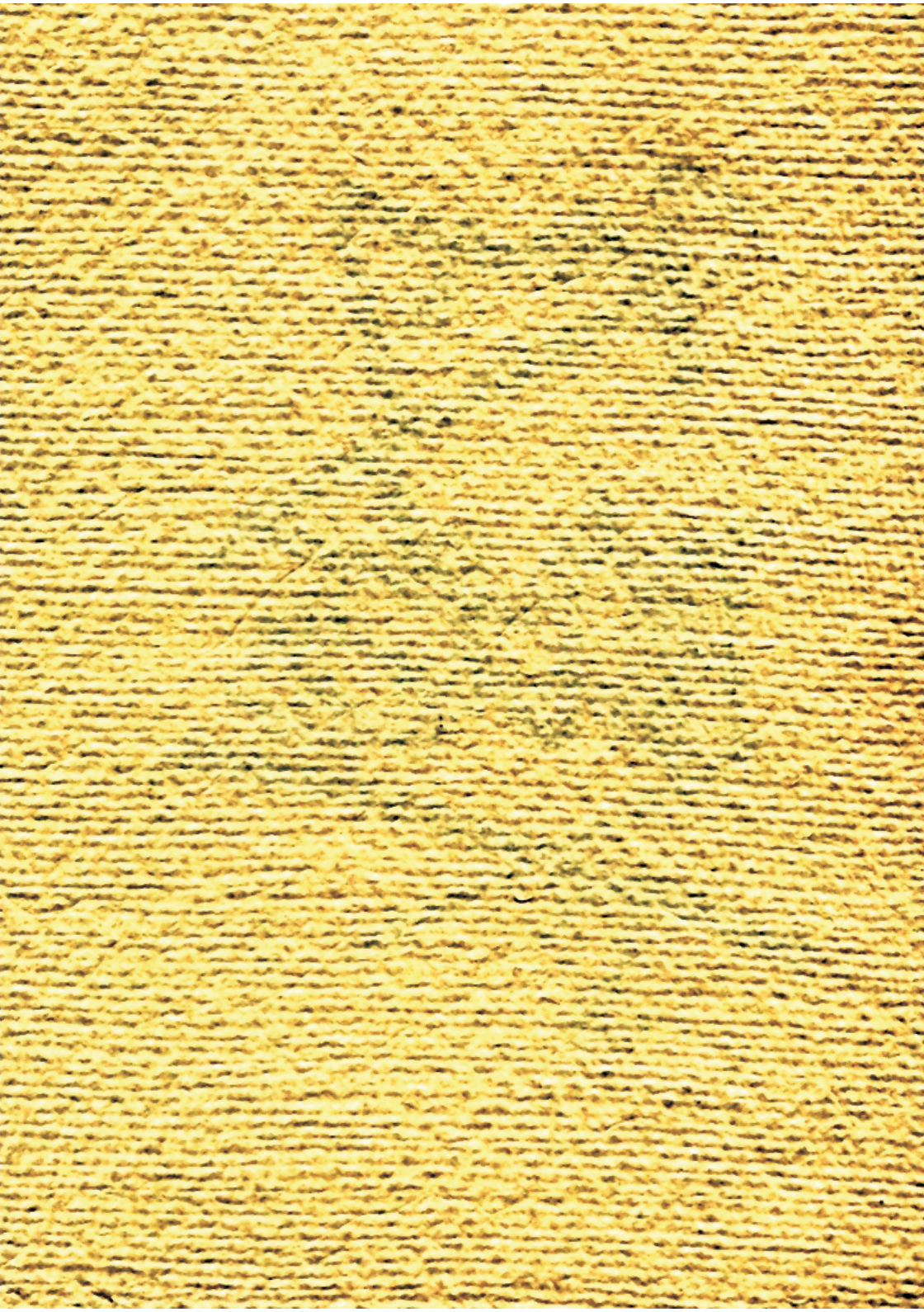


1

1995

7



Z OSTATNIEJ CHWILI!! "Białą Damę" Ernesta Dyczka odnaleziono pod koniec kwietnia 95 r. w Hurtowni Regionalnej "Składnicy Księgarskiej" w Katowicach... O "Damie" czytaj na s. 22!

Przecinek

**Małe prozy i
marginalia
Jerzego Pluty**

Wrocław - 1995, z. (-) 1

Redaktor: Piotr Czyżyk

**Seria I (minusowa) : na prawach rękopisu * © Copyright by Jerzy Pluta *
Wszystkie prawa zastrzeżone / All rights reserved * Zezwoleń na druk
(lub tłumaczenia) udziela Jerzy Pluta, 53-533 Wrocław,
ul. Zielińskiego 43 m. 10, tel. (0-71) 61-75-39 ***

Od redaktora

Chciałbym najpierw podziękować Jerzemu Plucie (dalej = JP), że to mnie mianował redaktorem "Przecinka". Niewątpliwie chytruskowato to wykombinował: liczy, że część moich francuskich zapasów (niestety, szybko się dewaluujących) przeznaczę na druk jego marginaliów, a zarazem zapewne uważa, że to dla mnie zaszczyt niebywały. Owszem, to zaszczyt, lecz także kłopot wielki. Dodam, że - oprócz imienia i nazwiska - nie mam nic wspólnego z Piotrem Czyżykiem, bohaterem "Stu czyżyków" JP. Po prostu swego czasu użyczyłem JP swojego nazwiska, pozwoliłem mu wykorzystać niektóre moje przygody i przemyślenia, lecz JP tak wszystko poprzekręcał i "upoetyzował", że stanowczo odżegnuję się od powinowactwa (nie mówiąc już o identyfikacji) z tym typem, pożałowania godnym Piotrusiem.

"Przecinek" publikuje wyłącznie teksty JP oraz materiały z jego archiwum literackiego (listy, rękopisy, rysunki itd.). Redaktorowi przysługuje jednakże prawo do dopisków i polemik, które zawsze będą (aby nie wprowadzać czytelników w błąd) podpisane moim nazwiskiem. "Przecinek" będzie się ukazywał od czasu do czasu, przynajmniej kilka razy w roku. Na razie wychodzi seria minusowa, czyli na prawach rękopisu. Ilu będzie miał czytelników? Może dwunastu, a może stu dwunastu... A może więcej? Wszystkie teksty zamieszczone w "Przecinku" są zarazem propozycjami JP dla redakcji czasopism, radia i telewizji, dla wydawnictw i tłumaczy.

"Przecinek" poszukuje mecenasów. Powtarzam: mecenasów, a nie sponsorów. Sponsor daje grosze, a ma spore wymagania (reklama, wdzięczność etc.). Natomiast mecenas to - jak podają słowniki - "protektor artystów, pisarzy, uczonych": zadowolony słowem "dziękuję", ew. nazwiskiem uwidocznionym w druku. Czy są jeszcze mecenas literatury polskiej? Mniemam, że tak. Nakład z. 1 - tylko 100 egz. Jeśli pojawią się mecenas, którzy zafundują papier, opłacą drukarza, to zawsze będzie można odbić więcej egz. A następne numery mogłyby się ukazywać w nakładzie 200, 300, albo nawet 500 egz. Ho! Ho! Ho!...

Publikować swoje: bez nie chcianych kontekstów, bez antyszambrowania...

Z Jerzym Plutą rozmawia Piotr Czyżyk

- Co Cię skłoniło do tak karkołomnego przedsięwzięcia jak wydawanie niskonakładowego pisma literackiego, zawierającego wyłącznie własne teksty? Czy to nie przejaw pychy? Albo może głupoty? W wywiadzie dla nowojorskiego "Nowego Dziennika" (dodatek "Przegląd Polski") - nr z 14 lipca 94 - powiedziałeś, że po 1989 r. pisarzy polskich ogarnęła podwójna gnuśność. Ciebie chyba potrójna... Gdzie Twoje arcydzieła? Co sądzisz o obecnej sytuacji w literaturze, życiu kulturalnym? Był, czy nie był przełom artystyczny po 1989 r.?

- Za dużo pytań... Chcesz mi zamącić w głowie? Nie, po 1989 r. żadnego przełomu w literaturze polskiej nie było. Nowa sytuacja polityczna, zniesienie cenzury, wreszcie czasy "hulaj dusza bez kontusza" - wszystko to nie spowodowało niebywałej erupcji twórczej. Zmieniła się natomiast radykalnie sytuacja kulturowa: oto literatura stała się w odczuciu społecznym (albo raczej: inteligencji) sprawą marginesową, nawet największe nazwiska spowszedniały, niektóre wręcz zblakły jak przeczytana gazeta. Już nie wystarczy podpisać kolejnego protestu, by uchodzić za autorytet literacko-moralny. W normalnych czasach najważniejszy jest - jak to pisał przed ćwierćwieczem Michał Głowiński - "autorytet tekstu". Nie nazwisko, nie ilość sprzedanych książek, lecz dzieło. Dziwne, że w ostatnich latach krytyka literacka jakby zamarła, nie przewartościowano literatury ostatniego półwiecza (literatury, a nie życiorysów pisarzy!), może to zadanie przede wszystkim dla badaczy, a nie krytyków. Co prawda przybyło pism literackich, ale wszystkie (a ponoć jest ich ponad 50) krążą w obiegu zamkniętym. Ja np. mam dostęp do kilku, niekiedy przeglądam kilkanaście tytułów. Pisarze polscy muszą się pogodzić z gorzką prawdą, że czytelnicy współcześni mogą się całkowicie obyć bez ich dzieł i arcydzieł, nie tylko dlatego, że mają tv, kasety itd.

- To po co jeszcze jedno pismo i to tak dziwaczne, że może zostać potraktowane jako wyglup zapoznanego wieszczą? Nie masz nazwiska... Gdybyś się nazywał - Różewicz, Herbert, Szymborska, albo Kozioł, Kornhauser, albo tylko Szczypiorski, Styczeń, to co innego. Co masz ważnego do powiedzenia? Polakom? Ludzkości?

- Trafne pytania i zastrzeżenia! Bo też "Przecinek" ma być i przejawem autorskiej pychy, i autoironii, i autoreklamy/autokreacji, a zarazem pismem jak najbardziej s e r i o (w znaczeniu Norwidowskim). Namawiam od pięciu lat kilku kolegów, by założyli spółkę autorską, by wydawać pismo itd. Odpowiadają: a kto da grosze? a czy warto? a po co? kto nas będzie czytał? W nowej sytuacji różne można wybrać postawy. Np. po prostu pisać i proponować swoje arcydzieła to tu, to tam. Albo starać się dostosować do wolnego rynku i pisać to, czego oczekuje odbiorca. Albo robić swoje, bez oglądania się na czytelników. Robić swoje, publikować swoje, czyli wyrażać swoje przemyślenia, czyli i mądrości, i głupoty, i powagę, i autoironię. Mnie właśnie ta ostatnia postawa najbardziej odpowiada. Taki ma być "Przecinek". Ot, małe prozy i marginalia, ale moje, nie wplątane - jak w innych pismach - w cudzy kontekst, w nie chciane sąsiedztwo... Nie będę się napraszał, po prostu proponuję, ot.

- Skąd ta nazwa? Kto zapłaci za papier i druk?

- Bardzo lubię w prozie przecinki (niektórzy mówią, że nawet nadużywam). To niby małe znaki interpunkcyjne, w języku polskim drugi po najważniejszej kropce, ale jakże ważny. Ja po prostu lubię intonacyjną interpunkcję. Od ponad stu lat poeci mają prawo do pisania jedynie małymi literami, bez jakichkolwiek kropek, przecinków... Ja natomiast będę bronił - jak przed wojną Boy - świętego prawa autora do przecinka. Chyba mnie prof. Jan Miodek nie potępi za nadmierne przecinkowanie... Seria I - na prawach rękopisu - jest niejako próbna: mam nadzieję, że znajdę mecenasów (albo oni znajdą mnie). A jeśli nie, to będę na minusie, po przecinku...

Pojechać do Gliwic

Nie muszę mieć paszportu, przedwojennego planu miasta, zaproszenia z urzędową pieczęcią, dolarów - wystarczy pójść/pojechać na dworzec, bilet można kupić za złotówki, już słyszę ostry kobiecy głos: pociąg osobowy do Gliwic odjeżdża z peronu trzeciego... A przecież są jeszcze pośpieszne, kilkanaście każdego dnia, także przesiadkowe, nie muszę wcale patrzeć na rozkład jazdy (Tymoteusz Karpowicz i tak w Chicago, Illinois, USA).

Pojechać do Gliwic: napić się o świcie kwaśnego powietrza, usłyszeć swojskie: kaj się pchosz, ciulu.

Pojechać do Gliwic, zaraz po śniadaniu: tam pod drewnianym masztem nieczynnej (od prawie półwiecza) radiostacji wciąż leży Franz/Franciszek Honiok, zastrzelony 31 sierpnia 1939 roku, anonimowy powstaniec w 1921 roku, potem gminny akwizytor fabryki maszyn rolniczych (pamięta go mój ojciec), zabity tylko po to, by druga wojna światowa mogła się rozpocząć zgodnie z planem. Ale dlaczego nikt się nie śpieszy, by go pochować na cmentarzu parafialnym w rodzinnym Łubiu, leży wciąż pod radiostacją niewidzialny, że nawet w najtajniejszych archiwach gestapo nie można odnaleźć jego ciała. A czegoż szukali pod miastem codziennie przez wiele lat moi dwaj bracia, na przykład na poziomie 470, albo na poziomie 610 metrów? Chyba nie węgla, węgiel jest wszędzie, także pod trotuarami Lwowa. Czyż nie cudownych paproci, odcisniętych w węglu i skalach, które zakwitwały tu sto, albo dwieście milionów lat temu? Czy nie kamienia, o którym śnili filozofowie? Mam w pokoju, w którym dziś czytam wiersze Angelusa Silesiusa, metalowe, okrągłe pudelko po czekoladkach "Goplany", w którym kawaleczek węgla z poziomu 385, ot, ze złotymi żyłkami, z których nie wybije dukata. Ile milionów lat czekał na nasze oczy, byśmy mogli się zadziwić jak dzieci: to się złoci jak słoma? A my wciąż o Gotach, Celtach, Hunach, Prasłowianach i Mongolach, którzy pogubili kiedyś (nad Klodnicą, nad Dramą) sprzączki, garnki i kamienne noże; i własne kości. Kto wspomni o nas za tysiąc lat, za sto tysięcy lat? A za pół miliona? Nawet twarde dyski rozpadną się bezszelstnie.

Pojechać do Gliwic: w Lesie Łubędzkim zjeść z dziewczką chleb z masłem i smacznymi dodatkami z tablicy Mendelejewa, a potem rzucić się z długopisem na nowiutki czołg, którego nikt nie chce kupić. Dziś, dziś. A dzisiaj go...

Pojechać do Gliwic, jeszcze dziś: tam mógłbym odnaleźć babcię kłozetową, która od Horsta Bienka, gdy znowu po trzydziestu paru latach

odwiedził rodzinne miasto i wstąpił do pisuaru, który wyglądał tak samo jak go zapamiętał ostatni raz w 1945 roku, zamiast 10 zł dostała 10 DM i była tak zaskoczona hojnością lysawego i brodatego mężczyzny z Reichu, że pocałowała go w rękę i powiedziała dostojnie: Niech wam ponboczek do zdrowie, a nie wiedziała wcale, że został już śmiertelnie ukłuty, i zapytać ją, co zrobiła z markami. Kupiła sobie kilogramową paczkę kawy, albo kilkanaście czekolad dla wnuków? Która to ubicakcja? Czy gdzieś w pobliżu kościoła p.w. Chrystusa Króla, czy też św.św. Piotra i Pawła?

Pojechać do Gliwic, to takie proste: mógłbym przy dworcu wsiąść do autobusu i pojechać kilkanaście kilometrów na północ, odwiedzić rodziców i zapytać jak w dzieciństwie: jak się macie, wszyscy zdrowi? No to jadę dalej: nie byłem jeszcze we Lwowie, Pekinie, Nowym Jorku i w tylu innych miejscach, gdzie nikt mnie nie oczekuje.

Ale ja się nie śpieszę na dworzec, pociągi codziennie odjeżdżają beze mnie, Wrocław obywa się beze mnie, świat obywa się beze mnie, nawet Jahwe obywa się beze mnie, dlaczego w Gliwicach miałby czekać na mnie Skarbnik, który powie: przyjechałeś, Gliwice istnieją naprawdę, tylko tu, choć nie spotkasz już na Wilhelmstrasse/ulicy Zwycięstwa chłopca tańczącego ostatnią polkę, mężczyzny z kartoteką, czy nieśmiałego młodzieńca zwiedzającego sklepy mięsne, choć nie są już od dwudziestu lat stolicą twojego rodzinnego powiatu, za to masz mój strzybny pyrylik, po co ci laska Mojżesza, czy paleczka Prospera.

Bo słyszę dziewczęcy, wcale nie niewinny, głosik: nigdy tam nie jedź, skoro możesz jechać do Lwowa, który jest wszędzie, więc znacznie bliżej.

(94)

Dopisek Piotra Czyżyka. Kiedy powiedziałem pryncypalowi, że jakoś ambiwalentnie odbieram tekst (to mi się podoba, to mnie odrzuca), odrzekł, że też ma pewne (pewne?) wątpliwości, bo i za dużo tu aluzji (literackich, biograficznych), i nie wiadomo, co sobie czytelnik pomyśli, czy w ogóle odbierze autorskie sygnały. Właśnie... Oto opowiadanko, a właściwie tytuł, leżało w głowie autora już kilka lat. Wystukano się na maszynie w zimie 94, gdy Andrzej Pańta zasugerował, by JP dał kilka małych próz do jednego z katowickich periodyków. Pismo przestało się ukazywać, maszynopis pozostał w szufladzie. Czytelnik górnośląski zapewne bez zdziwienia przyjmie aluzje górnicze, nie trzeba mu tłumaczyć kim jest Skarbnik, co to jest pyrylik, zapewne też wie co nieco o H.Bienku. A inni? Oto Horst Bienek (ur. w 1930 r. w Gliwicach, zm. na AIDS w 1990 r. w Monachium) jest autorem m.in.

zbioru wierszy "Gliwickie dzieciństwo" i tetralogii powieściowej, którą otwiera "Pierwsza polka". O przygodzie w gliwickiej ubikacji opowiedział pisarz w 1988 r. w Monachium Ernestowi Dyczkowi. Nb. od 1993 r. ul. Światowida, w pobliżu kościoła Chrystusa Króla, przy której mieszkała do 1945 r. rodzina Bienków, nosi imię Horsta Bienka. W "Pierwszej polce" autor opowiada także o sfingowanym napadzie na gliwicką radiostację. Wg propagandy hitlerowskiej napadu dokonali polscy żołnierze, przebrani w mundury powstańców śląskich - ów rzekomy napad stał się pretekstem do rozpoczęcia agresji Niemiec na Polskę właśnie 1 września. Kim byli zastrzeleni pod radiostacją mężczyźni? Dopiero w 1979 r. na podstawie materiałów archiwalnych, m. in. gestapo, dwaj niemieccy autorzy ustalili, że pod radiostacją w Gliwicach zastrzelono tylko jednego mężczyznę, prawdziwego powstańca śląskiego, Franza Honioka, aresztowanego 30 VIII 39 w Łubiu (które nb. jest także rodzinną miejscowością JP). W "Opisie pewnej prowincji" Biemek określił Honioka komunistą (tak go zapewne zaklasyfikowali mordercy), choć on po podziale Górnego Śląska nie prowadził działalności politycznej (powiat gliwicki pozostał w Niemczech), a poglądy miał raczej zachowawczo-katolickie. Honiok od 1979 r. przestał być osobą anonimową, ma hasło w "Encyklopedii Powstań Śląskich": był - jak napisał któryś z dziennikarzy - pierwszą ofiarą II wojny światowej. Gdzie został pochowany? Wyjaśni się dopiero na Sądzie Ostatecznym, czyli zapewne za kilka miliardów lat...

Aluzje literackie nie wymagają właściwie obszerniejszych dopowiedzeń. Oczywiście, "Pojechać do Gliwic" to i żartobliwe, i ironiczne nawiązanie do "Jechać do Lwowa" Adama Zagajewskiego ("Lwów jest wszędzie", "węgiel jest wszędzie" itd.). Jak wiadomo (oczywiście, wszak Zagajewski jest wśród pierwszej setki kandydatów do Nagrody Nobla, natomiast JP - wg najnowszych, poufnych wieści ze Sztokholmu - dopiero na 3897 miejscu...), autor "Sklepów mięsnych" urodził się w 1945 r. we Lwowie, następnie 17 lat mieszka w Gliwicach, a potem w Krakowie, Berlinie, Paryżu i Houston. JP urodził się pod Gliwicami, też tylko 17 lat przebywa w gliwickiej krainie, później w historycznej stolicy Śląska, w której mieszkańcy długo bardziej śnili o mitycznym Lwowie niż pamiętali o Piastach i powstańcach śląskich (choć mamy ulicę Powstańców Śląskich). No tak, można by rozszyfrowywać dalsze aluzje ("Szła dziewczeczka", czołgi z Zakładów "Bumar-Łabędy", "Rozkład jazdy" Karpowicza, człowiek z kartoteką, czyli Tadeusz Różewicz, mieszkający w Gliwicach w l. 1950-1968 itd.), tylko po co? Tekst sam się powinien tłumaczyć, a jeśli nie, to...Może kiedyś JP włączy "Pojechać do Gliwic" do zbioru pt. "Podgliwickie dzieciństwo", być może drukowany tu tekst nie będzie tam bezbronny, inne opowiadanka będą go zapewne osłaniać przed zatratowaniem, albo tylko przed postturchiwianiami.

Także przyspieszam

Na moim biurku stoi szkolny globusik, od kilku lat można go kupić w każdym prawie kiosku "Ruchu". Niekiedy - gdy nawet w uszach nic mi nie szumi - wstrzymuję oddech i dla zabawy palcem rozpędzam kolorową kulę: naprzód, avanti, szybciej, prędzej. Jestem pewny, że wtedy i Ziemia przyspiesza o ćwierć sekundy.

(88)

Wyjechać wreszcie ze Stanisławowa

Wyjechać raz na zawsze: nie wspominać, nie pamiętać, nie śnić, nie musieć spacerować po korsie, czyli po Sapieżyńskiej, nie odwiedzać znajomych na Balachach, na Górcie, na Majżlach, nie flirtować z Żydóweczkami z Belwederu, nie jeździć pociągiem do Nadwórnej, Jaremca, Tatarowa i Worochty, nie nosić szabli i lancy, nie pamiętać imion moich gniadych koni w 1. szwadronie 6. Pułku Ułanów Kaniowskich (kłacz Firuta, wałach Ład), nie nosić rogatywek z niebieskim otokiem, nie spotykać już więcej braci Żurakowskich, Władka, Franka i Kazika (stolarza i rozbijaki), nie kąpać się w Bystrzycy Solotwińskiej, w niedalekim Dniestrze i w Prucie pod wodospadem w Jarmczu, nie mieszkać w komunalnym bloku na Barewicza (dalej za rzeczką już Pasiczno), nie umawiać się pod pomnikiem Mickiewicza, nie przechodzić przez Rynek, obok katedry unickiej, obok kościoła jezuitów, obok kopulastego templu, nie zachodzić do Teatru Moniuszki, by posłuchać śpiewającego włoskie arie hrabiego Wojciecha Dzieduszyckiego, nie odbijać na powielaczu ulotek na pierwszym piętrze nad winiarnią, na Sapieżyńskiej naprzeciwko cmentarza żydowskiego, nie chodzić Belwederską - wszyscy znajomi i nieznajomi Żydzi rozstrzelani, wywiezieni, niektórzy powieszni w 1943 roku na gazowych latarniach na korsie (byli to policjanci, już Niemcom nieprzydatni), nie pamiętać adwokata Edzia Hausznera, i innych hawkaczy, nie wspominać Aci Piszczkańskiej, która przyznała się na komisariacie policji w Nadwórnej, że to ja dałem jej pakunek papieru na ulotki pierwszomajowe, a potem wszystko odwołała w Stanisławowie przed sędzią śledczym, nie pamiętać szkoły tańca jej ojca, nie chodzić na tańce do ukraińskiego "Sokoła" na 3 Maja, nie oglądać filmów Chaplina w kinie "Ton", także w kinach "Urania", "Warszawa" i "Olimpia", nie słuchać Władka Mielnika, Kiepur z Pasiczna, występującego

nieraz w klubie Związku Zawodowego Kolejarzy, który na smak śpiewał zawsze "Blondynki, brunetki", nie bawić się w 1919 roku ukraińskimi szachami, czyli znaczkami zastępującymi ówczesne drobne, w "Białej Karczynie" na Kazimierzowskiej nie pić piwa stanisławowskiego, bo podle, choć kosztuje tylko 20 groszy, lepsze kałuskie (30 gr), albo okocimskie, choć za kufel trzeba dać aż 50 groszy, nie grać w każdą niedzielę w piłkę nożną na pomocy centrowej w "Jedności" (klasa B), nie trenować na boisku Kasy Oszczędności, za parkiem, dojście Lipową (przed samą wojną - Pierackiego), nie chodzić ulicą króla Sobieskiego, nie spieszyć się ulicą Lelewela na pociąg do Kołomyi (właśnie dostałem robotę w Żabiu, trzeba postawić budynek murowany dla wojska, a tam w lasach ukrywa się bandyta Kotek), nie jeść u mateczek tanich obiadów (zupa, kotlet mielony) za 50 groszy, nie wchodzić po raz trzeci na komin fabryki waty, na komin cegielni (na Zosinej Woli), by na szczycie powiesić czerwony sztandar przed zapowiedzianym strajkiem, nie pamiętać, że bramkarz po ukraińsku to worotar, nie jadać już obiadów za 90 groszy u Fliega, nie pamiętać grubego burmistrza Chowańca, właściciela drukarni, nie przeklinać sprytnego komisarza do spraw politycznych, Galganiewicza, który i mnie oskarżał o antypaństwowe knowania, a nic mi nigdy nie potrafił udowodnić, byłem tylko "technikiem" i wolnym murarzem, żadnym tam masonem, co roku bez pracy od listopada do marca, nie śnić ostrych zim i próbnej mobilizacji podczas zimy stulecia w 1929 roku (zgubiłem wówczas szablę pod Nadwórną), nie nucić "Przyjechali ulani", nie oglądać zdjęć, całkiem już wyblakłych, wyjechać raz na zawsze, wyjechać właśnie teraz, gdy stuknie mi za rok dziewięćdziesiątka. Mówię: u nas, a dzieci, wnuki się pytają: u nas to gdzie? W Kamiennej Górze, czy w Stanisławowie? Więc wyjechać, wyjechać wreszcie. Tylko jak? Którym pociągiem, którą dorożką, którym autem? I czy warto? Wieczorem, przed północą? I to w zimie.

(95)

Filizanka z szczęcioma kwiatuškami

1. Miałem chyba kilka lat, gdy zauważyłem ją po raz pierwszy. Ot, stała sobie w kredensie obok talerzy, szklanek, zwykłych filizanek i kieliszków. Jedna z kilkunastu filizanek. Spoza kompletu. Tylko jej dolna część, zewnętrzna, chyba mnie zaciekawiła: taka błyszcząca, fioletowa glazura (choć nie znalazłem

jeszcze tego słowa), ciemnofioletowa (dopiero po wielu latach dowiedziałem się że właściwie wiśniowofioletowa). Złocenia, oddzielające dolną, węższą znacznie powierzchnię, od górnej, ozdobionej sześcioma kwiatuśkami, wcale mnie chyba nie zainteresowały. Co mi po kwiatuśkach malowanych, gdy w ogródku, na łąkach, w życie i pszenicy, w pobliskim lasku mam bardziej kolorowe, i nie takie maciupęńkie. Uszko malutkie, że trudno było, nawet mamie, utrzymać ją dwoma palcami, trzeba było filiżankę podpierać od spodu lewą dłonią. O niebieskich, miniaturowych skrzyżowanych mieczach na spodzie filiżanki chyba w ogóle nie wiedziałem, po prostu nigdy im nie przyjrzałem się uważnie. Co tam miecze, gdy mam procę i patyk do klipy. Nawet nie pamiętam, czy filiżanka mi się specjalnie podobała. Wcale nie filiżanka, tylko szolka. Gdy brakło podczas uroczystości rodzinnych filiżanek i szklanek, to któraś z ciotek piła kawę właśnie z tej przyozdobionej kwiatuśkami. Potem znowu stała w kredensie, pamiętam, że wcale nie była wyróżniana: ot, przekładało się ją z miejsca na miejsce, to stała na górnej półce, to niżej, to do niej, czy do innej filiżanki mama wkładała jakieś kwity, banknoty, po prostu papierki, a także agrafki, szpilki. Ale i tak od najmłodszych lat wiedziałem, że mimo wszystko nie jest to zwyczajna filiżanka, kupiona kiedyś tam w sklepie w Pyskowicach, albo w Gliwicach: była jedyną filiżanką ze złoceniami, na dodatek samotną, zawsze rezerwową.

2. Długo, chyba aż do jesieni 1956 roku, gdy z radia i "Trybuny Robotniczej" dowiedziałem się, że nie ma już Stalinogrodu, a znowu Katowice, nie ciekawiło mnie, skąd się wzięła w kredensie. A skąd by? Ze sklepu. Albo ktoś rodzicom podarował. Może to podarek weselny? Skąd się biorą talerze, filiżanki, kubki? Co za pytanie. Fabryki je robią a sklepy sprzedają, kto ma pieniądze, może sobie kupić filiżankę z kwiatkami, z dziewczynką z jasnymi warkoczykami, z holenderskimi wiatrakami. Co to za kwiatki? Tylko trzy rozpoznałem od razu. Oto najbliższej uszka po lewej trzy niebieskie kwiatuśki: ten rozwinięty, środkowy, ma pięć płatków i żółtą główkę (a także pięć ciemnoniebieskich kropeczek), i trzy świeżo wyrosłe, zielone, listeczki. Niezapominajki. Czterdzieści parę lat temu i ja zrywałem je nad potoczkiem, nad rzeczulką, która wciąż jest lewym dopływem prawego dopływu Dramy, która znowu kiedyś była (była, bo od ponad półwiecza wpada do jeziora powstałego po wywiezieniu piasku do bytomskich kopalń) lewym dopływem Kłodnicy, która prawie znikła, bo zastąpił ją Kanał Gliwicki. Jak pachnie niezapominajka? Zapomniałem. Trzecim kwiatkiem, w lewo od uszka, jest bratek, chyba polny, takie bratki rosły - chyba, chyba - w pańskim życie (nie, dla mnie już w życie

pegeerowskim). Oto pierwszy kwiatek rozchylony, trójbarwny (dwa płatki jasnofioletowe, dwa jasnożółte, jeden ciemnożółty), drugi jasnofioletowy, nie rozwinięty. Dwa listeczki jasnozielone. Czwarty to niewątpliwie kaczeniec zlocisty, trójkwiatkowy. Listki ciemnozielonkawe, jakby lekko niebieskawe. A drugi kwiatek jak się nazywa? Nie wiem. Może to dzwonek? Trzy tulipanowate kielichy pomarańczowe, środkowy nieco rozwarty, z żółtymi wewnętrznymi płatkami. Piąty kwiatusek jasnofioletowy: to zapewne groszek ozdobny. A szósty? Pomarańczowe płatki (aż sześć), główka żółta, ozdobiona brązowymi kropkami. Piwonia? Margerytka alpejska? No tak, nie posłuchałem Woltera, nie zająłem się ogródkiem i teraz mogę jedynie podziwiać miniaturowe kwiatuszki, jak żywe, na białej porcelanie, takie delikatne, nie więdnące od... Od ilu lat? Może od stu, może od dwustupięćdziesięciu.

3. Nie pamiętam, kiedy filiżanka zaczęła mi się podobać aż tak, że chciałem ją mieć na stałe u siebie, na biurku, na półce obok książek, ale nie po to, by z niej pić herbatę, jak księżniczki saskie, lecz po to, by móc ją oglądać (i podglądać) kiedy tylko mam ochotę, by pstrykać w brzeg paznokciem i słuchać jak czysto pika przez dwie sekundy. Jaka miła biel, jakie wyzywające złotko, jakie drażniące oczy fiolety, jakie delikatne kwiatuszki! Jak ci się podoba, to ją sobie weź - powiedziała mama, choć wiedziałem, że i siostra ją sobie upatrzyła kilka lat temu, bo trzymała filiżankę za szybą swojej biblioteczki. Już wówczas wiedziałem, że nie jest to jakaś pospolita filiżanka, z jakiegoś seryjnego serwisu, z kwiatuskami z kalkomanii. Na początku lat siedemdziesiątych, chyba w 1972 roku, pojechałem do Drezna. W dowodzie osobistym miałem wciąż zdjęcie sprzed lat: DDR-owski strażnik pokazywał to na dowód, to na moją brodę; przestraszyłem się, że będę musiał wysiąść, nie zobaczę Zwingeru, a pierwszy raz w życiu wyjeżdżałem za granicę - przywołał drugiego mundurowego, tamten ledwo na mnie zerknął i kiwnął głową. Kilkanaście godzin później podziwiałem w Muzeum Porcelany dzbanki, talerze, filiżanki, wazony, cukiernice, figurki, kufle, a nawet guziki i widelce - z całego świata, z Chin, Niemiec, Francji i Anglii. Przed gablotą z serwisami kawowymi zatrzymałem się nieco dłużej: aż tu nagle widzę dwanaście filiżanek, jakże podobnych do tej, która stoi sobie samotnie w kredensie u rodziców, daleko stąd, pod Gliwicami. Wszystkie mają podstawki. Czy to takie same kwiatuszki? Nie widzę dokładnie, bo wszystkie eksponaty za grubą szybą. Ciemny fiolet u dołu, w środku szlaczek złoty, kwiatuszki u góry. Odwrócony dzwon. U góry brzegi ponacinane sześciokrotnie. Może i rodzinna szolka z kwiatkami wzorowana na miśnieńskich wyrobach? Zapewne ta u rodziców to jakaś

podróbka, imitacja dwudziestowieczna, albo być może sprzed stu lat. Tak myślałem w Dreźnie przez chwilę, chyba - kilkanaście sekund. Czyż ćwierćmetrowy, rurkowany szklany puchar, z którego pije wino, obejmujący lewą ręką Saskię, roześmiany Rembrandt, udający syna marnotrawnego, nie jest piękniejszy? Podziwiałem obraz pół godziny temu, w sali na pierwszym piętrze.

4. Od prawie dwudziestu laty mogę codziennie podziwiać filiżankę z kwiatuskami. Niestety, brak podstawki, a spód filiżanki nieco obtluczony. Pilem z niej herbatę, kawę też, tylko kilka razy, bo się bałem, że ją upuszczę i się stlucze, jak tyle milionów innych zwykłych filiżanek i szklanek. Na spodzie filiżanki skrzyżowane miecze, jedenastomilimetrowe, malowane kobaltem pod glazurą. I wyciskana sygnatura: B 154 a, naprzeciwko B tylko cyfra 6 (a może to 9?). I jeszcze dwa kobaltowe znaczki, obok mieczy: dwie kreski i niby gwiazdka. W sierpniu 1981 roku poczęstowałem kawą Leopolda Buczkowskiego. Wypił z niej dwie kawy, owszem, obejrzał filiżankę dokładnie, a potem poprosił o herbatę w szklance, może być również w musztardówce, albo w porcelitowym kubku. Widzi pan te kwiatki, jakie wymuskane, prawie wylizane, a to złotko dukatowe, aż się boję pić - mówi - jeszcze się zbije, albo nagle rzucę nią o podłogę, a to może być pana najcenniejsza rzecz w mieszkaniu, pan przecież wie, jak nie znoszę estetyzmów, tak, piękna niewątpliwie, aż za wytworna, jak na mój podolski gust, tak, nie mogę wiec pić z niej kawy. A młodego poetę z Dąbrówki Wielkiej, pijącego pod kaloryferem herbatę Wojaczkową ze szklanki (z dwóch łyżeczek chińskich ziół ciemnobrązowe treści) zapytał: jak opisać tę filiżankę w wierszu, nie trącając nią o ziemię?

5. Miśnińska, niemisnińska? Original czy imitacja? Właściwie to wcale się nie zamartwiałem: ot, po prostu ładna filiżanka z sześcioma kwiatuskami. Kilka lat temu coś zanadto spodobała się znajomkowi, chciał ją koniecznie kupić, nawet pięćdziesiąt marek mi dawał. Nie, to pamiątka rodzinna, a po drugie - lubię na nią zerkać od czasu do czasu. Po kilku dniach znowu mnie odwiedził. Z grubymi księgami. Mierzył niebieskie miecze, stukał paznokciem w uszko i fiolety. Popatrz - mówi - filiżanka ma kształt odwróconego dzwonu, w środku podstawa ma tylko 30 milimetrów średnicy, natomiast u góry, od nacięcia do nacięcia, prawie 90. To filiżanka z połowy XVIII wieku, to Dolongmuster, niewątpliwie to oryginał. Słuchaj, co jeszcze pisze uczoney w porcelanie: "Wzór przejęty przez Miśnię z amsterdamskiej firmy Dulonge,

Godefray et Dulgone. Polegał on na zastosowaniu na krawędziach naczyń muszlowatych kartuszy i luźno rzuconych pojedynczych kwiatów. Używany w okresie Hörolda". A ty trzymasz sobie takie cacko na półce obok roczników "Tekstów"? A co mam zrobić - mówię. Trzymać w sejfie w banku?

6. Chyba jednak wiedziałem, gdy tylko zauważyłem filiżankę z kwiatuškami, że to podarunek. Taki przypadkowy. Ot, szolka w bifyju. Tylko kto ją podarował? Dowiedziałem się, gdy miałem kilkanaście lat, gdy w szkole poznikały portrety Stalina. To wojak ją zostawił, pod koniec stycznia, albo w lutym 1945 roku - mówiła mama. Przychodzili, otwierali szafy, zabierali sobie to ręczniki, to prześcieradła, to obrusy, to inne rzeczy, po prostu co komu wpadło w oko. Jeden z nich (taki niski, wesoly wojaczek, w długim płaszczu) coś sobie upatrzył w komodzie, kto to może pamiętać, co to było, z kieszeni płaszcza wyjął filiżankę, postawił na stole, chyba mu przeszkadzała, coś tam powiedział, że to niby dla nas, jakoś tak, że to podarunek, kto by tam spamiętał. Wiem: wtedy nie pito w domu kawy prawdziwej, ani herbaty, tylko zbożową z cykorią, z kubków, albo z metalowych garnuszków. A kto popijał sobie bon café nawet w czasie wojny, z porcelanowych filiżanek? W okolicy zapewne tylko rodzina von Bergwelt-Baildonów. No tak, Johna Balidona (i jego potomków) stać było sto pięćdziesiąt lat temu nie tylko na kupno hut, kopalń i majątków ziemskich. Czyż serwis kawowy z manufaktury Meissen, gdy kierował nią Johann Gaspar Hörold, kosztował aż tak dużo? Na pewno mniej niż jeden wielki piec w Królewskiej Hucie czy w Gliwicach? Celowo nie podaję nazwy miejscowości, bo trochę się boję, że potomkowie Baildonów, mieszkający w Niemczech i Szkocji, upomną się nie tylko o Hutę Baildon, lecz także o filiżankę z porcelany miśnieńskiej. Rodzice jej przecież nie ukradli, był to niewątpliwie podarek żołnierza zwycięskiej (było nie było) Armii Czerwonej. Kto zaprzeczy?

(95)

Stacja metra: Franz Kafka, to właściwie kontynuacja małych opowiadań zamieszczonych w „Melancholijce”. Najstarsze z nich pochodzą z 1970 roku, najnowsze z roku 1993. Są krótsze i dłuższe. Cała moja sympatia zogniskowała się na tych najkrótszych – „osiedlowych” i „domowych”. W nich właśnie demonstruje autor kapitalny zmysł obserwacji, rzadką umiejętność postrzegania psychologicznego detalu, świeży koncept, dowcip, umiejętność kreowania nowych sytuacji literackich, choć wiem, że to ostatnie sformułowanie bliskie jest Przybosiowej „nowej sytuacji lirycznej”. Ale może to i dobrze, bo miniatury J. Pluty są pełne poezji (nie poetyckości!).

Krzysztof Kuczkowski

Szanowny Panie Fluta!

W odpowiedzi na list Pana: 1-mo, daty pow.op. Mł.p.w zam. 1946-1956r.
2-do nie zbieram omówień "Młodego poety w zamku". "a skromnie żyję, żeby
wydawać pieniądze na piśmiźła. Wolę dobry tytoń, zabawy ludowe, rozmowy z
dziewczętami, które są inteligentniejsze od magistrów nie tylko farmacji,
pogawędki z kieszonkowcami, tak już, niestety, nielicznymi przyjaciółmi i
profesorami lat młodzieńczych. Pomny dawnej między złodziejami przyjaźni,
"Młodego poety w zamku" poświęciłem tej uroczej sławie, z własnoręczną de-
dykacją na szmacty tute: Möchte es auch in ~~in~~ Universiteten gedeihen!... co brzmi:
oby wydało plon i na uczelni. Będzie u mnie kolega Tomczyk w swoich sprawach,
więc niech się go Pan przyczepi, żeby, skoro już zbiera podobne, żeby zrobił
w naszej bibliotece wypis dla Pana. Jeżeli, naturalnie, lubi Pan zbierać
wiedzę tym sposobem, wiedzę fenomenologiczną-jak Dedal z Bloomem u Joyca.
Jest nadzieja, że będę tej zimy we Wrocławiu. Wówczas posunęlibyśmy wskazówki
zegara o kilkanaście godzin (naprzód!!)

Pozdrawiam z ukłonami zakłopotanego:

Konstancin, 30.10.64.

Leopold Buczkowski

Drogi Panie Jerzy!

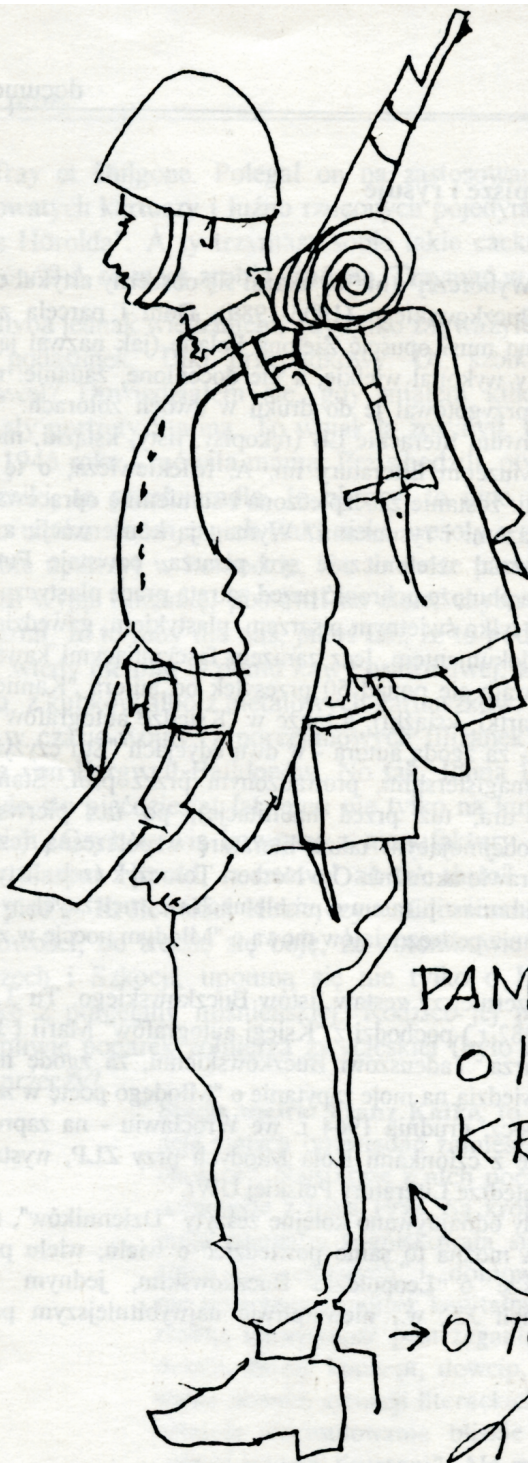
Przyjąłem do wiadomości. Zaproszenie oficjalne dostałem. ,epesuję do
ZLP. Przyjeżdżam we wtorek o godz: 22,46. Chodzi o to, żeby zaraz lignać
w jakieś ciepłe bety. Niech zapenią D, otel na dwa łóżka, gdyż jeżdżę zawsze
z szefem protokołu, jak Mołotow, swego czasu, naturalnie. "a dworcu powinien
być jakiś ubek z informacją, najsprytniejsze w tym wypadku są kobiety. A jak
sciełają łóżka! I zaraz spać się chce. Potwierdzam też list Pana z ostatniej
chwili. Do widzenia!

Konstancin, 28.11.64.

Drogi Panie Jerzy!

Słyszałem, że maś an kłopoty z dostaniem Gombrowicza-dlatego
pozwalam sobie przesłać Panu na zimę Dziennik. Jest to podarek od
mojej przyjaciółki w Izraelu-na wiosnę odeśle mi go Pan do domu.
Dobrze? Jeżeli Tomczyk będzie czuł do Dziennika "pociąg"-odstap mu Pan
też na jakiś czas. Wróciłem ~~ma~~ z Wrocławia z mieszanymi uczuciami, jak
powiadają ineligenci-każde publiczne wystąpienie-to coś kurewskiego
szczególnie, że nie wiadomo o co chodzi-więc trzeba "macać"-taka macan-
ka podrywa nerwy-jak mówiła jedna rajcmacherka. Już do końca życia nie
pozbędę się kompleksu tajniaka nabranego prez Eichmana. Ale o tym poze
m. "szystkim miłym kłaniam się, kobiety Wasze całują, szkoda że tak kró-
tko tego. Pana sciskam serdecznie, bliiski Pana myśli:

Konstancin, 14.12.64.



PAMIĘTAJTA
O 13 dyw. PIECA
KRESOWEJ

← TU

→ O TO ONE ←

A. B...

Leopold Buczkowski wciąż pisze i rysuje

W lutym 1995 r. w "Gazecie Wyborczej" (nr 36) ukazał się obszerny artykuł o konstańskim domu Leopolda Buczkowskiego (1905-1989). Dom i parcela zostały sprzedane, syn pisarza z rodziną musi opuścić Zieloną Polanę (jak nazwał ją Zygmunt Trziszka, który przed laty wykonał wielkie, a nie docenione, zadanie: nagral wypowiedzi Buczkowskiego i przygotował je do druku w dwóch zbiorach: "Proza żywa" i "Żywe dialogi"). Archiwum literackie LB (rękopisy, listy, książki, niektóre rysunki i grafiki) trafiło do Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza; o tę część spuścizny możemy być spokojni: zostanie zabezpieczona i sumiennie opracowana. A co z rzeźbami w drewnie, obrazami i rysunkami? Wymagają konserwacji, a na to brak środków. Jak mi powiedział telefonicznie syn pisarza, powstaje Fundacja Leopolda Buczkowskiego, która pomoże uchronić przed zaturą prace plastyczne.

Leopold Buczkowski był nie tylko świetnym pisarzem, plastykiem, gawędziarzem. Także jego listy są nie tylko dokumentem, lecz zarazem fascynującymi kawalkami prozy. W moim biurku zachowało się ponad 50 przesyłek od autora "Kamienia w pieluszkach" (listy, depesze, kartki, książki), a także w "Księdze autografów" 6 rysunków (jeden pojawił się już - za zgodą autora - w dwu edycjach "Stu czyżyków"). W 1964 r. na seminarium magisterskim, prowadzonym przez prof. Stanisława Pietraszkę (wówczas jeszcze dra, tuż przed habilitacją), po raz pierwszy na Uniwersytecie Wrocławskim obejmującym także literaturę współczesną (czyli po 1918 r.), pojawiły się tematy prawie aktualne. Oto Norbert Tomczyk (zob. listy) zajął się "Czarnym potokiem", ja natomiast pisałem o problemach wewnętrznych w prozie polskiej l. 1955-1960 (w jednym z podrzdziałów mowa o "Młodym pocie w zamku" - por. "Prace Literackie", t. 8).

Przygotowuję do druku obszerniejszy zestaw listów Buczkowskiego. Tu 3 listy z 1964 r. Rysunek (z 15 VIII 1982 r.) pochodzi z "Księgi autografów" Marii i Jerzego Plutów. Dziękuję synowi pisarza, Tadeuszowi Buczkowskiemu, za zgodę na druk listów. Pierwszy list jest odpowiedzią na moje zapytanie o "Młodego poetę w zamku"; następne dotyczą pobytu na pocz. grudnia 1964 r. we Wrocławiu - na zaproszenie Oddz. ZLP. Pisarz spotkał się z członkami Koła Młodych przy ZLP, wystąpił na "Czwartku lit.", a także - w Katedrze Literatury Polskiej UW.

To kiedyś o Żeromskim, gdy odnajdywano kolejne zeszyty "Dzienników", mówiło się, że wciąż pisze i pisze. A można to samo powiedzieć o wielu, wielu polskich pisarzach. Niewątpliwie także o Leopoldzie Buczkowskim, jednym z najwybitniejszych pisarzy polskich XX w., niewątpliwie najwybitniejszym prozaiku polskim XX w.

Żyłuję życie i wiersze

Pod takim tytułem miała się ukazać w 1989 r. w bydgoskim "Pomorzu" książka zawierająca listy (prawie 400!) Ryszarda Milczewskiego-Bruna do JP z l. 1961-1979. Z moimi komentarzami. Warto wymienić pełną nazwę wydawnictwa: Redakcja Wydawnictw Pozaprasowych "Pomorze" Pomorskiego Wydawnictwa Prasowego RSW "Prasa-Książka Ruch". Odbitki korektowe dostałem pod koniec kwietnia 1989 r.: w maju przebywałem w sanatorium, korektę odesłałem więc dopiero w połowie czerwca 89 r. Już w innej Polsce... "Pomorze" nie spieszyło się z zakończeniem edycji RMB (nie dostałem drugiej korekty), a potem - jak wiadomo - Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza została rozwiązana. Redakcja Wydawnictw Pozaprasowych usamodzielniała się - powstała Spółdzielnia Pracy "Pomorze". Niestety okazało się, że w redakcyjnych szafach nie zachowały się ani maszynopis autorski książki, ani materiał ilustracyjny (zdjęcia rysunków i rękopisów RMB, łącznie 46 pozycji), ani odbitki korektowe z moimi poprawkami. Na szczęście oryginały listów i rysunków RMB, a także kopia m-pisowa listów, nadal w moich szufladach. Nowe "Pomorze" zamierzało książkę wydać, jednak ostatecznie po kilku latach wahań i kalkulacji w marcu 94 r. dostałem oficjalną wiadomość od red. Krzysztofa Solińskiego, że ze względów finansowych nie jest to obecnie możliwe. Żał mi przede wszystkim zaginionych materiałów ikonograficznych (a zwłaszcza kilku zdjęć, które miałem tylko w jednym egz. - no tak, moja wina, mogłem zrobić kopie...). M-pis książki "Żyłuję życie i wiersze", czyli opowieść autobiograficzna w listach, nadal czeka na wydawcę, zapewne trzeba by - po dziesięciu prawie latach - rozszerzyć nieco komentarze. W połowie 1989 r. (w najfatalniejszym dla literatury okresie - w lecie 89!) ukazał się w "Czytelniku" trzypiętomowy zbiór utworów RMB "Poezja. Proza. Listy"; w t. 3 ("Listy") znalazło się 377 listów do różnych osób (w tym 39 do JP).

Drobne fragmenty listów RMB do JP ukazały się w 1983 r. w książeczce bydgoskiej Galerii Autorskiej J. Kai i J. Solińskiego pt. "Dam znać!". W "Roczniku Literackim" 1983 (W-wa 1991, s. 227) Edmund Jankowski napisał: "Wyimki z listów Brunna (...) to wstrząsający dokument, który nadaje się do czytania przez ludzi o silnych nerwach". Czy znajdzie się nowy wydawca? Nie wiem. Oto końcowy fragment listu Brunna z 5 listopada 1971 r.:

(...) - A co ze mną? - jeżdżę po Bukowcach, Warlubkach, Nielubkach, Rodowiskach itd. Żyłuję życie i wiersze. I chyba źle nie robię. Czuję jedynie, że pewnego - rychłego! - dnia przewrócę się gdzieś w podróży i będę miał... spokój (???). No, ale... zobaczymy! Najserdeczniej pozdrawiam (Was: z Magdą!) - Bruno

**Aktualnie: Klasyfikator żywca
Ryszard Mielczewski**

W Pradze i we Wrocławiu

Gdy na pocz. stycznia 95 r. ob. małżonka kupiła w "empiku" "Arkusz", najpierw go - jak zwykle to robię - przekartkowałem. Wiersze Jacka Łukasiewicza - na dwóch środkowych stronach - od razu rzuciły się w oczy. Czytam "W Pradze", czytam i... znajduję swoje nazwisko. Ja w wierszu? Nawet nie mogłem doczytać do końca... Czy to rzeczywiście o mnie chodzi? Chyba tak. Pod koniec października 1992 r. i ja byłem w Pradze na IV Jesiennym Sympozjum Czesko-Polskim, które odbywało się w Ośrodku Kultury Polskiej. Wystąpili profesorowie i pisarze (m.in. J. Łukasiewicz, J. Kolbuszewski, J. Vlášek, O. Bartoš, J. Pluta). Moje wystąpienie ukazało się w toruńskim "Przeglądzie Artystyczno-Literackim" (1993, nr 9/10). Była wówczas okazja, by popatrzeć i na Pragę (prostuję błąd drukarski: wzgórze nazywa się Petřín), i na arcydzieła wielkich i małych mistrzów w Galerii Narodowej. W wierszu Łukasiewicza te dwie rzeczywistości (codziennopraska i galeryjna) się przeplatają (por. wiosłowe łodzie, które opisywał w listach do Felicji Kafka, piwo i "białe krowy" z obrazu - niestety, nie wiem z którego). Tekst to nastrojowy, asocjacyjny, nieco inny od klasycyzujących (jak je określił A. Zawada) wierszy Łukasiewicza - przede wszystkim znakomitego krytyka, eseisty i badacza literatury, który także w poezji wyraża odmienny timbre. Srdečně děkuji, pane básniku a profesore!

Jacek Łukasiewicz

W Pradze

arkusz
 (Poznań)

Patrzę z góry na tętniącą miarowo Weltawę
 jej zachłanna i brudna woda, na niej wiosłowe łodzie
 Drzewa nabierają szarych i złotych barw na Pietrinie
 Te same barwy przenikają stacje metra w Pradze
 Szarozielone oczy otwierają się cicho spod wieku
 Granitowe groby Wyszehradu chronią je pół na pół
 Czarnobiała i krótka broda Jerzego Pluty
 nad marmurkowym stolikiem odbija się w pianie Prazdroju
 Angielskie czy duńskie dzieci, ciastka i coca-cola
 Wszystko to drobnym dowodem na słuszność teorii odbicia
 Białe krowy przeżuwiają trawę z zielonych łąk
 Ponad nimi wąskie pasmo czystego nieba

Rok IV
 numer 7 (37)
 grudzień
 1994 roku

Leszek Przyjemski odpoczywa

Co słysząc u Leszka? - zapytał mnie niedawno Janusz Styczeń. To, co zawsze: odpoczywa, łowi syreny w Renie, kieruje Museum of Hysterics (obecna siedziba: Dinslaken k. Duisburga), pisze poetyckie listy do przyjaciół, nie lubi przecinków, wystawiał swoje documenta w BWA w Bydgoszczy w 1994 r., a w tym roku - w Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie itd. Oto co napisał do mnie 13 listopada 94 r. niebieskim długopisem: *Drogi Jerzy tak sobie siedzimy w ritzu i ćwir ćwir ćwir ćwir obsługa wzorowa wieczorem Bal i tyle z Paris Leszek + 22 Koty + 1 Pies*. Tekst na odwrocie kolorowej widokówki: dwa ptaszki na gałęzi leszczyny (wierzby?), wśród zwiśających kotek. To przecież szczygły - mówi prawie 90-letni teść. Tak, czytam: Stieglitz (carduelis carduelis). Czarne ogony, skrzydła brązowo-czarne, z żółtymi plamami, głowa dokoła jasnych dziobów jaskrawo czerwona. Takie szczygły łapał teść na samotrzask (po jednej stronie klatka ze szczygłem-wabikiem, po drugiej pusta) ponad 60 lat temu na przedmieściach Stanisławowa. Najpiękniej śpiewały szóstaki, przyjemniej niż kanarki, można było na krakowiakach za jednego szczygła dostać kilka złotych, czasem nawet pięć (srebrna moneta z głową kobiety). Szóstaki tak śpiewały: trr trrrr tuuu trrrr. Kiedy widziałem szczygła? Ostatni raz ponad 35 lat temu, chyba wydziubywał ziarenka ostu. A może to był czyzyk? Nie, czyzyki przesiadują w ziemie na olszach. A może to był gil, na śliwce-drzystce?

Co to za ritz? Oczywiście, to hotel Ritz w Paryżu, place Vendome, gdzie i za czasów Prousta, i teraz obsługa wyśmienita. Ma 22 koty? Tak. W 1982 r., w Duisburgu, na wystawie w sklepie zoologicznym stała klatka z kotką, z przyczepioną karteczką. Leszek przeczytał duże litery (z wykrzyknikiem!), że jeśli nikt jej nie kupi, to za dwa dni zostanie

uśpiona. Nazajutrz znowu zobaczył tę samą karteczkę, więc kotkę kupił (zdaje się, że za 20 DM). I oto teraz ma 22 koty. Każdy kotek, każda kotka ma swoje imię, na które reaguje, gdy tylko zawoła pan artysta Leszek. Wśród nich są: Badio, Płomyczek, Kaśka, Panicz, Jaśniepanicz (nazwany tak na cześć W.Gombrowicza - po przeczytaniu książki J.Siedleckiej "Jaśniepanicz"). A pies? Został wyłowiony przez Leszka w Brdzie, w Bydgoszczy, pod koniec 1993 r. i przewieziony wytwornie mercedesem nad Ren.

Śluchaj tylko mamy?

Dotąd, wstając przed ósmą, włączałem radio i mogłem posłuchać programu III PR: wiadomości, komentarzy, muzyki. Od kilku tygodni zamiast "trójki" (nie wiem jak to możliwe) muszę słuchać radia Zet. Lecz tylko w sypialni. Gdy przeniosę radyjko do kuchni, znowu mogę słuchać pr. III (oczywiście, bez przekręcania galki). A ja się budzę powoli, ubieram powoli, więc słucham rano, co w kraju i na świecie. I chcąc nie chcąc muszę także słuchać, niby śpiewanych, samouwieleń dziewczątka (lub chloptasia) : *Ślucham tylko mamy i radia Zet*. Co to jest? Autoreklama? Nie, to raczej zaklęcie magiczne. Jeśli już słucham akurat radia Zet, to po co mi taka głupawa zachęta? Niby jest to zachęta poetycka (wykorzystanie dwu znaczeń słowa "słuchać"), lecz podejrzanie kultuńska, wręcz denerwująca. Słucham tylko mamy? A ojca już nie? A naszej pani w klasie? A księdza? A braciszka? A koleżanki od serca? Tak, radio Zet zapewne nie boi się procesu o dyskryminację, przede wszystkim ojców. Radio Zet zapewne jest dumne ze swojej głupawki z kiczowatym zaśpiewem i muzyczką. Wańkowicz nie wstydził się hasła 'Cukier krzepi' (podał nawet ile złotych zarobił - bodajże 50), choć było całkowicie nie-

prawdziwe (dziś lekarze mówią tak: "Cukier biała śmierć"). Osiecka nie ukrywa, że oni wymyśliła: "Coca cola to jest to!", choć woda mineralna z Polanicy Zdroju na pewno jest smaczniejsza i zdrowsza. Kto wymyślił "poetyckie" hasło radia Zet? Autor, autor!

Czy we Wrocławiu w 1945 r. była ulica Adolfa Hitlera?

Na początku 1992 r. ukazały się we Wrocławiu dwa plany miasta, które odtwarzały dawną topografię, dawne (wiadomo: niemieckie) nazwy ulic. Oto druczek wydawnictwa "Przecinek", bodajże już dziś nie istniejącego pt. "Wrocław dawniej i dziś", zawierający reprint planu z ok. 1914 r. ("Monumentalplan der Königl. Haupt. u. Residenzstadt Breslau", oraz współczesny plan centrum, nie wzbudził zbytniego poruszenia. Natomiast plan wydany przez oficynę Towarzystwa Miłośników Wrocławia - "Wratislavia" - pt. "Wrocław/Breslau" wywołał poza Wrocławiem (także w ogólnopolskiej tv) zacierzwione ataki. Oto - argumentowano - by przypodobać się (ho, ho!) turystom znad Renu zostawiono - unieważnione przecież przez Historię - niemieckie nazwy ulic, a na dodatek pojawia się (o zgrozo!) Adolf-Hitler-Strasse. Wydaje mi się, że wypowiadający się o tym wielce pożytecznym planie dawnego Wrocławia chyba nie mieli go w ręku, stąd owe obłudne oburzenia, że pojawiają się na nim nazistowskie nazwy ulic Wrocławia, których ponoć nawet w RFN nie wolno przypominać. Nawet w wydaniach dokumentacyjnych? Otóż "Wratislavia" zamierzała zreprodukować autentyczny plan "Breslau 1945" (albo nieco wcześniejszy) i opracować aktualny ("Wrocław 1992"): szybko się jednak przestraszyła swojej niebywalej odwagi i wydała jedynie zrekonstruowany na podstawie kilku wydań plan Wrocławia z pocz. 1945 r. I co się

okazuje? Nazistowskich nazw ulic nie było we Wrocławiu wcale tak wiele; przypuszczam, że anonimowy autor planu bał się, że będzie atakowany za wierność prawdzie historycznej, więc (niestety) wybrał rozwiązanie kompromisowe. Otóż odnalazłem jedynie 3 (słownie: trzy) nazistowskie nazwy ulic, które ponadto zostały podane w nawiasach, po wcześniejszych (ale już nie występujących w 1945 r.) nazwach. Zapewne hitlerowskich nazw było więcej, ale tylko te trzy po prostu rzucają się w oczy. Oto ulica Powstańców Śląskich, jedna z najdłuższych i najpiękniejszych we Wrocławiu, do czasów hitlerowskich nazywała się Kaiser-Wilhelm-Strasse, a potem (do pocz. 1945 r.) - Strasse der SA. Nie powinna się więc ta nazwa (nawet w nawiasie) pojawić na zrekonstruowanym, historycznym planie Wrocławia? A co z potworem Adolkiem? Oto obecna ul. Adama Mickiewicza, przecinająca park Szczytnicki, nazywała się właśnie Adolf-Hitler-Strasse. Nie powinno się tego faktu ujawniać współczesnym wrocławiakom? To przede wszystkim do nich, urodzonych tutaj, adresowany jest wspomniany plan Wrocławia, a nie do jakichś mitycznych turystów z ziomkostwa breslauerów. I tak nazwa ta znalazła się w nawiasie, bo wcześniej była to Friedrich-Ebert-Str. (na planie sprzed 1928 r. czytam, że to Tiergarten-Str., a na planie z 1914 r., że to Schwoitscher Chaussee). Trzecia nazistowska (też podana w nawiasie) to Horst-Wessel-Str. (po wojnie Zygmunta Wróblewskiego). Mogę i ja mieć pretensje do wydawcy, właśnie za asekurantwo, że nie wydano autentycznego planu Wrocławia np. 1944 r.

Bo jakoś nie słychać było potępień, gdy kilka lat temu zaczęły się ukazywać reprodukcje przedwojennych planów Lwowa, Wilna i Grodna (choć podobno protestowali hurra-patrioci ukraińscy i litewscy): przeszłości nie da się wyczarować np. poprzez edycję starych map, trzeba natomiast starać się ją dokładnie poznać. I nie należy zapominać o oczywistych faktach: Wrocław od prawie półwiecza jest znów miastem polskim (choć w przeszłości był

i czeski, i niemiecki) Wilno - stolicą wolnej Litwy, a Lwów (mimo wielowiekowej przynależności do Rzeczypospolitej) jednym z ważniejszych miast Republiki Ukrainy. Ani teraz wznawiane niemieckie plany Wrocławia, ani przedwojenne polskie plany Wilna czy Lwowa tego faktu nie zmieniają. Nawet o milimetr.

(IV/94)

Kolejny przystanek. Odwracamy stronę, żeby pominąć dalszy ciąg wywodów na tematy semickie. A kiedy, trwając w uporze, że doczyta kopernikański wywód do końca, czytelnik rozpoczyna fragment dedykowany Michałowi Głowińskiemu, przechodzi prawdziwą próbę rozpalonej stronicy. Na szczęście profesor nie miał pewnie ochoty ani sposobności czytać tytułów prac poświęconych Kafce, które proponuje Jerzy Pluta. A oceniając komentarz do swego pomysłu, że to bohaterowie Kafki stworzyli autora, teoretyk literatury wzruszyłby tylko ramionami. Tak jak odbiorca nie - kalkologicznego, arcykundnego zbioru luźnych myśli Jerzego Pluty.

Bożena Budzińska

pisarza. Otóż wielokrotnie przypisywano wrocławskiemu autorowi posiadanie znakomitego słuchu językowego i niebanalną pomysłowość stylistyczną. *Stacja metra: Franz Kafka* w żaden sposób nie potwierdza tych niegdyśszych konstatacji. Pluta po prostu rejestruje sytuacje, interesuje go zdarzenie, a jeśli nawet towarzyszy temu np. drobna wymiana zdań, to zawsze „oczyszczona” z kolizji i ekscesów języka mówionego. Zupełnie tak, jak gdyby na tym obszarze pisarz nie chciał znaleźć uzasadnień swoich notacji. Jerzy Pluta nie chce szumów, zlepów, ciągów, a na tym negatywnym wyborze jego „okruszki epopoi” raczej tracą niż cokolwiek zyskują.

Dariusz Nowacki

Od pewnego czasu Pluta zarzucił większe formy prozatorskie, wyspecjalizował się w oryginalnych miniaturach, których jeden tomik ukazał się wcześniej pt. „Melancholijka polonaise” (nakładem Galerii Autorskiej Jacka Solińskiego i Jana Kaji w Bydgoszczy) – i można powiedzieć, że trafił w swój „genre”. „Stacja metra: Franz Kafka” przynosi znowu niewielkie, liczące od strony do trzech stron druku (w jednym przypadku, sprawozdania z podróży po Pradze i wizycie w tamtejszym krematorium, nieco więcej, ale to wyjątek) małe prozy, którym trudno precyzyjnie „dopasować” szufladkę gatunkową; jeżeli miałbym szukać jakichś antenatów dla tej twórczości, dopatrywałbym się ich może w ni to prozatorskich, ni to poetyckich „zlepach” Mirona Białoszewskiego. Choć Pluta zdradza mniejsze niż Białoszewski zainteresowanie tworzywem czy też materiałem uprawianym przez ludzi na co dzień mowy; bardziej fascynuje go codzienna rzeczywistość obyczajowa, psychologiczna, ta kształtująca się na styku powszednich kontaktów międzyludzkich – na ulicy, na spacerze, z sąsiadami, na pogrzebie. Poza tym miniatury Pluty, w przeciwieństwie do dość „otwartych” utworów Białoszewskiego, mają charakter zamkniętych struktur – miniopowiadań czy nawet mininowel z mniej lub bardziej czytelną pointą. Oto np. w jednej z nich narrator w trakcie swoich spacerów na skwerku obserwuje – z wewnętrzzną aprobatą – zasiadającą

= Mieczysław Orski =

Stacja metra: Franz Kafka

(Małe prozy dawne i nowe)



WYDAWNICTWO "OKIS"

"Krajowe i światowe echa", czyli o siódmej mojej książce

Dosyć niespodziewanie we wrześniu 1993 r. wyloniła się możliwość wydania zbioru opowiadań w II serii Biblioteki Wr. Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Oto Zarząd Oddz. SPP poparł wniosek członka Komisji Wydawniczej Zarządu, Ernesta Dyczka, by w każdej serii (dotąd wyłącznie poetyckiej) ukazywał się co najmniej jeden zbiorek opowiadań, bądź esejów. Wyjąłem z teczki opowiadanka drukowane onegdaj w "Kulturze" (warszawskiej) i "Odrze", przepisałem nowe i najnowsze; moja propozycja została przez recenzentów oraz Zarząd Oddz. SPP zaakceptowana i w listopadzie 93 r. maszynopisy powędrowały do składu. Nad dalszymi losami zbiorów czuwał Ernest Dyczek - redaktor serii II i autor opracowania technicznego. Okładkę i karty tytułowe projektował Stanisław R. Kortyka. Edycję II serii dofinansował wrocławski Urząd Wojewódzki. Nakład: 500 egz. Autorzy (zamiast honorarium) otrzymali - już na pocz. lutego 1994 r. - po 100 egz. swoich książeczek. W serii II (oprócz "Stacji metra") ukazały się tomiki poetyckie Janusza Stycznia ("Poezja mroku"), Karola Maliszewskiego ("Młody poeta pyta o -"), Tomasza Majerana ("Elegia na dwa głosy"), Mariana Jachimowicza ("W blasku istnienia") i Jerzego B. Kosa ("Pergamin piasku"). Jak stwierdził na spotkaniu promocyjnym w Klubie Związków Twórczych w marcu 94 r. J. Łukasiewicz, w serii II znalazł się zarówno zbiorek nestora poetów polskich, Jachimowicza (ur. w 1906 r.), jak i młodego debiutanta, Majerana (ur. w 1971 r.).

Zbiorki z kolatką na okładce można było nabyć w kilku księgarniach wrocławskich, krakowskich i warszawskich, a poza tym w Oddz. SPP we Wrocławiu (Rynek Ratusz 26). Ilu było chętnych na nasze nowe arcydzieła? Dziś jeszcze nie wiem... Dodam tylko, że wznowień nie będzie.

Co autorzy zrobili ze zbiorcami? Mogę tylko powiedzieć o sobie. Oczywiście, podarowałem "Stację metra" krewnym i znajomym, przesłałem pisarzom, którzy i mnie obdarowali wcześniej swoimi książkami; otrzymali ją także krytycy i recenzenci, którzy pisali o poprzednich moich książkach, a także kilka bibliotek krajowych i zagranicznych (w Pradze i Jerozolimie). Niektórzy pytali mnie o dwukropek w tytule. Po prostu podpowiedział mi Miron Białoszewski (zob. "Stacja: Żydzi do mnie!" w zbiorze "Szumy, zlepy, ciągi"). Być może czytelniejszy byłby tytuł taki: *Stacja metra "Franz Kafka"*.

Jakie były "światowe i krajowe echa"? Oto dochodziły mnie opinie ustne, listowne i prasowo-radiowe. Dostałem ok. 30 listów i kartek (kilka z zagranicy) z różnorakimi głosami: grzecznościowymi, polemicznymi, pochwalnymi (kilka przyprawiło mnie o zawrót głowy). Wspomnę o dwóch. Oto pewien wybitny tłumacz literatury polskiej na niemiecki po przeczytaniu "Stacji metra" napisał do mnie 8 marca 94 r. z pewną irytacją: "Przyznam się Panu otwarcie, że mam wielkie trudności z odczytaniem tych tekstów. Sens bezpośredni rozumiem, nie w tym sęk. Ale co tam za sens w tyle, zamaskowany, utajniony?" Natomiast drugi nadawca, który otrzymał nie tylko "Stację metra", lecz także tekst mojego praskiego wystąpienia, w którym m.in. również o L. Buczkowskim, Henryk Bereza, opublikował potem swój list w "Twórczości" (1994, nr 8) w stałej rubryce "Czytane w maszynopisie". Nie będę go cytował, bo i tak po jego opublikowaniu przybyło mi kilku "życzliwych"...

W marcu 94 r. w programie I Polskiego Radia "Stację metra" w audycji "Wszystko jest poezją" polecali (jakże życzliwie!) słuchaczom Anna Stępnik i Tadeusz Lewandowski; przez 4 dni kilkaset tysięcy osób (??) mogło poznać kilkanaście moich małych próz... Pod koniec marca 94 r. po raz pierwszy w życiu (chyba nie ostatni?) moje nazwisko pojawiło się na pierwszej stronie największego dziennika górnośląskiego (zob. s. 24). Już jestem "człowiekiem z pierwszych stron gazet"?

A recenzenci zauważyli "Stację metra"? Niektórzy tak. Dodam, że m.in. "Gazeta Wyborcza", "Rzeczpospolita", "Polityka" odnotowały książeczkę jedynie w rubryce "Książki nadesłane". Natomiast "Le Monde", "New York Times", "Jerusalem Post" (i kilkadziesiąt innych czołowych światowych periodyków) przeoczyły ją niewątpliwie tendencyjnie (kto za tym stoi?)... Pierwszą opinię przeczytałem w czerwcu 94 r. W bytomskim kwartalniku "Fa-art" (1994, nr 1) Dariusz Nowacki ("Drobizgi Pluty") nie jest zachwycony małymi prozami (podałoby mu się jedynie 3 praskie opowieści). Tenże autor rozwinął swoje uwagi w "Twórczości" (1994, nr 7) w recenzji pt. "Okruszki epopei". Wbrew zapewne intencjom autora, tytuł ten niezwykle mi pochylił (pomijam już aluzję do książki o Worcellu "Okruchy epopei"). W poznańskim piśmie "W Zmowie" (1994, nr 1) Bożena Budzińska ("Tramwaj zwany nudą") zarzuciła autorowi kilkanaście grzechów głównych: nudę, sprzeniewierzenie grosza publicznego (sponsor "zamiast zakupić narty i łyżwy polskim olimpijczykom, by wreszcie zaczęły odnosić sukcesy, wydaje niezbyt odkrywcze książeczki"), antyfeminizm, "uproszczenia, migawki w telewizyjnym stylu", antypraskość, antykafkizm i antysemityzm... Brawo, brawo! Takich ciotek kulturalnych - jak pisał i mawiał pewien bywalec kawiarni "Rex" w Buenos Aires - nam potrzeba: nudzi ją, ale czyta do końca, bierze kropelki ze zdenerwowania, ale nie odkłada książki. Natomiast w sopockim "Toposie" (1994, nr 3/4) Krzysztof Kuczkowski ("Pluta i Głuszko: razem i osobno") konstatuje, że "miniatury J. Pluty są pełne poezji (nie poetyckości!). Pisarz posiada rzadki dar podnoszenia do rangi poezji tego, co stanowi samą esencję prozy życia". Najwyżej ocenił "Stację metra" Mieczysław Orski ("Małe prozy Piotra Czyżka") w miesięczniku Księża Jezuitów ("Przegląd Powszechny" 1994, nr 11), co było dla mnie pewnego rodzaju podwójnym zaskoczeniem.

A czy we Wrocławiu zauważono ukazanie się siódmej mojej książki? Oprócz wrocław. Polskiego Radia (w marcu 94 r. prawie godzinne sprawozdanie z wieczoru promocyjnego w KZT) i Ośrodka TV (w kwietniu 94 r. ponadpółgodzinna audycja "Spotkania z literaturą" o książeczkach I i II serii) jedynie "Słowo Polskie" (nr 286) na pocz. grudnia 94 r. opublikowało notę Barbary Soli ("Wieźwiec i poezja"). Jak to napisał poeta prawie sto lat temu? "Zaprawdę nikt nie jest prorokiem w mieście swoim"...

Kto spotkał Białą Damę?

Ktoś mógłby powiedzieć, że książka ta w ogóle się nie ukazała: w księgarniach nie można jej było kupić, PP "Składnica Księgarska" odpowiadała na zamówienia księgarzy, iż takiej pozycji nie ma na składzie i w katalogu. Mam jednak tę tajemniczą książkę na biurku, i to z dedykacją autora (z wyraźną datą: 11 kwietnia 1991). Jest to jedna z najładniej wydanych książek tamtego roku: kolorowa obwoluta, 4 oryginalne grafiki (autorka: Jana Szotkowska-Chmiel) - kolorowa na obwolutcie, 3 czarno-białe w środku. Czcionka garmondowa, papier III kl., nakład 4700 + 300 egz. Autor zgodnie z umową otrzymał 20 egz., kilkanaście bibliotek naukowych - egzemplarze obowiązkowe (powieść m.in. sfiszkowana w Bibliotece Uniwersyteckiej we Wrocławiu). Co się stało z pozostałymi egzemplarzami? Oto jest pytanie! Nie wiadomo, czy w ogóle cały nakład opuścił Drukarnię Wydawniczą w Cieszynie: na pocz. 1991 r. Wydawnictwo "Śląsk" nie stać już było na zapłacenie usług poligraficznych, wkrótce zresztą ogłoszono jego bankructwo. Autor zamierzał kupić dodatkowe egzemplarze, niestety, nie było to możliwe: syndyk masy upadłościowej nie wiedział, co się stało z wydrukowanymi książkami. Czy drukarnia je zarekwirowała? Czy zalegały w jakimś magazynie (bankrutującej także "Składnicy Księgarskiej"? Czy skierowano je od razu z drukarni do papierni? Autor zażyczył sobie, by zamiast ostatniej (nie wypłaconej w terminie) raty honorarium przesłano mu tyle a tyle egz. powieści. Po ostatniej prośbie autora syndyk zamilkł i nie odpowiada do dziś. A znowu mamy kwiecień, tylko że 1995 roku...

Co to za książka? Tytuł: **Biała Dama**. Podtytuł: **Opowieści z czasów rozpadu**. Autor: **Ernest Dyczek**. Jak mi powiedział, jest to najgustowniej wydana jego książka, lecz wciąż nieznana i zapoznana. Autor przedstawia w "Białej Damie" przedziwną historię tłumacza, Arkadiusza Szarka, mieszkającego we Wrocławiu, a wywodzącego się z b. Księstwa Cieszyńskiego, zakochanego w śnieżnej Białej Damie. Bohater sporo dywaguje o literaturze, życiu i Życiu. No tak, tylko w którym magazynie ukrywa się "Biała Dama"? Może po prostu roztopiła się w papierni jak śnieżynkowy płaszcz Białej Damy?

Centrum
Sztuki
Współczesnej
Zamek
Ujazdowski



00-461 Warszawa
Al. Ujazdowski 6
tel. 628 76 83
628 12 71-73
Fax 628 95 50

MUSEUM OF HYSTERICIS

1968 - 1995

LESZEK PRZYJEMSKI

uwaga! MASKI GAZOWE / parasole / można wypożyczyć
w SZATNI (za drobną opłatą)

Galeria
Dokumentu

24.04. - 15.06.1995
Kurator Grzegorz Borkowski



Minirecenzje - być może w następnym zeszycie ...

Nawiązuję tu do tytułu rubryki we wrocław. "Kontrastach" ("Kontrastach Odrzańskich"): w l. 1968-1970 w trzech zeszytach ukazało się anonimowo 51 not, których autorem wszystkich (prócz jednej) byłem ja. Zapewniałem, że nie udajemy "dobrych wujaszków, ani też salonowców": rzeczywiście, nie były to reklamówki... A dziś? Miały to być krótkie bardzo osobiste noty o kilkunastu książkach, które leżą na biurku i na podłodze. A właściwie o kilkadziesiąciu... O książkach kupionych w księgarniach, otrzymanych od autorów, pożyczonych w bibliotece. Dodam, że do księgarni prawie boję się wchodzić: mogę w miesiącu kupić 2, 3 książki, a chciałbym co najmniej 20... A są tytuły ukazujące się od kilkadziesiąciu (kilkunastu) lat, które i tak zaraz kupię, choć wiem, że końca edycji mogę nie doczekać. Oto np. nieoceniony "Słownik etymologiczny języka polskiego" F. Sławskiego ukazuje się od 1952 r. (pierwszy tom nabyłem w 1961 r.): ostatni zesz. - do "Iżywy" - pojawił się w 1982 r. Fundamentalny "Słownik gwar polskich" wychodzi od 1977 r.: niedawno kupilem z. 13 (ostatnie hasło "czupiradło"). Niestety, w pierwszym "Przecinku" zabrakło miejsca na minirecenzje, więc wymienię jedynie tytuły, które chciałem w kilku zdaniach omówić.

Oto na biurku książka Gustava Janoucha "Rozmowy z Kafką" (przeł. J. Borysiak, E. Dyczek, posłowie i przypisy E. Dyczek, Wwa 1993 Czytelnik). Przywoływana przez prawie wszystkich kafkologów, choć sceptycy (np. M. Kundera) mniemają, że "notatki i wspo-mnienia" nazbyt "poetyckie". Mnie to nie przeszkadza: prawdziwej duszy Kafki i tak nigdy nie poznamy. Oto obszerna rozprawa o pisarstwie L. Buczkowskiego Tadeusza Błażejewskiego "Przemoc świata" (Łódź 1991 Wydawnictwo UŁ). Niedostępna, bo ukazała się w nakładzie... 100 + 70 egz., a warta lektury. Oto ważący prawie 2 kg (!) "Słownik literatury polskiej XX wieku" (Wr. 1993 Ossolineum) - jakże pożyteczna książka dla studentów, nauczycieli, po prostu - inteligentów (jeśli jeszcze są). Latem 93 r. J. Styczeń zapytał mnie czy widziałem "Słownik". Nie. To przejrzyj - mów! - w indeksie jestem wymieniany 2 razy, a ty aż 4... Sprawdziłem, to prawda - książkę kupilem dopiero w marcu 94 r., gdy dostałem grosze za druk opowiadań w "Wieczorze Wrocławia" i musiałem dołożyć tylko 10 tys. zł.

Oto - jakże różne, a zasługujące na uwagę - tomiki poetyckie Mieczysława Machnickiego "Wiersz po latach" (Wwa 1993 Orfeu), Bogusława Żurakowskiego "Znaki wodne" (Kr. 1993 Symbol), Krzysztofa Kuczkowskiego "Widok z dachu" (Gdańsk 1994 Granit), Jerzego L. Ordana "Wielka dłoń świata" (Bydgoszcz 1994 Bibl. Oddz. Bydgosko-Tor. SPP), Andrzeja Pańty "Nic więcej" (Bydgoszcz 1994 Prezentacje Metafory), Henryka Wolniaka "Pradziady" (Wr. 1994 A)... Osobno muszę wspomnieć o zbiorze Leona Szwea "Sonety K. K. K. 111" (Wr. 1994 - wydawca nie podany): oto wiersze antykomunistyczne napisane w poetyce socrealistycznej.

Oto przejmująca "Przetoka" Krzysztofa Nowickiego (Szczecin 1992 Glob), poniekąd kontynuacja "Ostatniego kwartału".

Oto intrygujące, pobudzające do polemik i apologii, książki krytycznoliterackie i eseistyczne Henryka Berezę "Pryncypia" (Kr. 1993 Oficyna Lit.), Jacka Łukasiewicza "Rytm, czyli powinność" (Wr. 1993 Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocł.), Jerzego Łukosza "Byt bytujący" (Wr. 1994 Wydawnictwo UW), Michała Głowińskiego "Pismak 1863 i inne szkice o różnych brzydkich rzeczach" (Wwa 1995 Open)...

Oto dwie książki Bohumila Hrabala: "Nic, tylko strach" (przeł. A. Czibor-Piotrowski, Wwa 1994 Autograf) i "Kim jestem" (przeł. A. S. Jagodziński, Wwa/Gdańsk 1994 Cis/Marabut).

Oto "Opis pewnej prowincji" Horsta Bienka (przeł. B. Fac, Gdańsk 1994 Atext) - niestety, bez przypisów i sprostowań książka prawie nieczytelna, nawet dla Górnoszlązaków. Oto "Osem notatników" Franza Kafki (przeł. B. L. Surowska, Gdańsk 1995 Atext)...

Ukazuje się w czterech województwach

Dziennik Zachodni

25-27 marca 1994 r.

Katowice Bielsko-Biała Częstochowa Opole

Nr 60 (14.939)

Wyd. 1 2 3 4

Cena 5.000 zł

PL ISSN 0137-9038

Nakład: 680.000

Nr indeksu 35007



Kilka zdań

Pluta

Wrocławski prozaik i krytyk literacki Jerzy Pluta przysłał mi zbiór swoich opowiadań „Stacja metra: Franz Kafka”. Są w nim istne perełki. Z Jerzym znamy się sporo lat i bardzo go lubię, a i on do Katowic zagląda często. Choć we Wrocławiu mieszka od lat, hodzi w sobie sentyment do Górnego Śląska. Urodził się bowiem w Łubiu koło Gliwic. Całymi latami żyje w pewnym rozdwojeniu pomiędzy Wrocławem a Katowicami.

OBSERWATOR

To nie kolaż!

Nie przypuszczałem, że moje nazwisko trafi na pierwszą stronę wielkiego dziennika regionalnego. Ba: gdybym został np. senatorem, doktorem honoris causa, noblistą etc., to co innego. A tu takie wyróżnienie! Ile osób zerknęło na tę notę? Chyba milion... A ilu miłośników literatury pobiegło w poniedziałek do księgarni? Jeśli nawet tylko stu, to i tak w górnośląskich księgarniach moja książeczka nie była dostępna. Kilka dni później dostałem list od redaktora naczelnego "DZ": "Ja chyba zwariowałem, w 680 tys. egz. reklamuję niejakiego Plutę"... Tak to bywa, gdy szefem gazety zostaje elitarny eseista i wyrafinowany prozaik. Mam nadzieję, że autor noty "Pluta" nie otrzymał nagany, najwyżej ustne upomnienie...

Pierwszy mecenas "Przecinka" : Hubert Dziubich (skład komputerowy)

Exp. no 2

My

Photo
